

Marcin Moń*

Gdy gwiazdy się ułożą

Postrzępione chmury przesłaniają większość gwiazd. Z brzuszyska największej — granatowoczarnej, wzdętej burzą bestii — dobiega przeciągły pomruk gromu. Szeleszcą liście drzew, wiatr mamrocze do mnie głosami obłędu.

Głosami Przedwiecznych.

Biegnę boso przez mokrą trawę i sam już nie wiem, czy za czymś gonię, czy jestem goniony. Przedzieram się przez gąszcz. Gąszcz splątanych myśli, wspomnień i kolczastych zarośli, które chcą mnie zatrzymać. Gałęzie wyciągają do mnie swoje rozcapierzone, pazurzaste łapy. Biegnę i zastanawiam się, co mnie doprowadziło do tej chwili. Gdzie popełniłem błąd, w którym momencie skręciłem z prostej ścieżki normalnego życia — praca, rachunki, podatki, urlop, samochód, dom — i otworzyłem nie te drzwi, co trzeba, przekroczyłem próg, zza którego nie ma już odwrotu, nadepnąłem na gałązkę, której trzask zwrócił na mnie uwagę czegoś, co lepiej, żeby pozostało uśpione. Oślizłej bestii, przed której wzrokiem nie sposób się ukryć.

Jestem taki zmęczony. Sen już od dawna nie daje ukojenia. Za każdym razem, gdy opadają mi powieki — a dzieje się to bez przerwy — mam uczucie jakbym zatapiał się w czymś lodowatym. Jakby potężne ciśnienie wciskało mi w płuca słoną morską wodę, gorzkawą od glonów porastających dno oceanu.

On mnie widzi. Śni o mnie tak samo, jak ja śnię o nim. Nie. On śni inaczej, potężniej. Jego sen jest bardziej realny niż moja rzeczywistość. Jak mógłbym się z nim równać? Wcześniej w swoim ludzkim zadufaniu myślałem, że to ja wybrałem jego, że zainteresowałem się starożytnym językiem, w którym napisano hymn na jego cześć. Że świadomie

* M a r c i n M o Ń — ur. 1988; absolwent lingwistyki stosowanej na UMCS w Lublinie; z zawodu tłumacz, od kilku lat zajmujący się głównie przekładem literatury fantastycznej (Hugh Howey, Jon Sprunk); swoje teksty publikował również w „Magazynie Fantastycznym”, „Qfancie” oraz „Smokopolitanie”.

podjąłem decyzję, by zacząć rozszyfrowywać zakodowany w tym prymitywnym czterowierszu ukryty przekaz. Teraz rozumiem, że to on wybrał mnie.

Cthulhu.

Sybilla była, jak to transartystka-automorfistka, trudna do opisanía. Raz niebiesko-włosa i ostra jak brzytwa, innym razem mlecznobiała i niewiele kontaktująca. „Odurzona własną rzeczywistością”. Styl ubierania zmieniała tylko nieco częściej niż paradygmat, a ten zmieniała jak rękawiczki. Kiedyś przez tydzień autentycznie wierzyła w Odyna, kiedy indziej przez miesiąc rozmawiała z boginią Gają, która przemawiała do niej poprzez drżenie płyt tektonicznych. Życie było jej płótnem. Na swojego lifeloga wrzucała dosłownie wszystko, od postępów swoich programowalnych bakterii — robiła z nimi coś z pogranicza ewolucji, matematyki i sztuki, ale nigdy nie zrozumiałem, o co dokładnie chodziło — aż po fotki swojej córeczki. Dziewczynkę wychowywała bezjęzykowo, komunikując się z nią przez zastępującą wszczepkę infloflorę, za pomocą obrazów mentalnych i emocji. „Żeby nie stłamsić jej naturalnej kreatywności i żeby nie skaziła jej samcza semantyka patriarchalnego systemu, w jakim żyjemy”. Rodzić musiała na Marsie, bo żaden ziemski rząd nie pozwoliłby jej na coś takiego, ale w końcu postawiła na swoim.

Dziecko z marsjańskim obywatelstwem nie było, rzecz jasna, moje. Zresztą ani razu się nie kochaliśmy. To nie była tego rodzaju kobieta. Kopulowaliśmy za to jak zwierzęta, dziko, łapczywie, obleśnie i cholernie satysfakcjonująco. Ja akceptowałem jej dziwactwa. Ona ledwo znosiła moją normalność, czy raczej „sztywny konformizm”.

— Może spróbujesz wtłoczyć do swojej zamkniętej czaszki coś nowego? — zapytała mnie pewnego razu, kiedy oglądaliśmy instalację na wernisażu którejś z jej psiapsiółek. — Mam u siebie w mieszkaniu trochę zarodników infloflory.

— Ja już mam infloflorę. — Wzruszyłem ramionami, udając, że podziwiam zwisające z sufitu zwoje drutu kolczastego, dilda w rozmiarze XXL i trójwymiarowe wydruki ludzkich kości przewiązane różowymi wstążeczkami. Symbolizm, że cholera.

— Ale ty masz taką ze sklepowej półki — powiedziała, wbijając mi swoje niebieskie szpony w przedramię. — Nuda.

— A to nie wszystko jedno? I tak używam jej głównie do czucioglądania pornosów. — Ot, mieszkające w mózgu symbiotyczne bakterie z półprzewodzącymi organellami, pomyślałem wtedy. Czym się mogą różnić? Ważne, jaki soft im się wgra, a wgrywałem już

różne rzeczy. — Myślisz, że zestawienie różowych wstążek z ludzkimi kośćmi symbolizuje miałość naszej kultury panicznie uciekającej przed świadomością śmierci? — zaryzykowałem.

Prychnęła pogardliwie, a ja nie wiedziałem, w której kwestii wykazałem się ignorancją: infosymbiontów czy interpretacji sztuki. Prawdopodobnie w obu.

— Moje zarodniki mają zdjęte blokady — szepnęła.

— „Prawie legalne”, hm?

— Wnikasz tak głęboko, jak zechcesz. Hormony, neuroprzekaźniki, skojarzenia, odruchy, pamięć. Całe płaty mózgu włączasz i wyłączasz jak światło w przedpokoju — zamruczała niczym kotka pogłaskana tak, jak lubi najbardziej.

— Nie umiem programować. — Wzruszyłem ramionami. Może nie znam się na sztuce, ale te dilda chyba musiały w jakiś sposób reprezentować męskość? Testosteron? Może szowinizm? Jak to ona mówiła? Opresyjny patriarchy?

— W sieci jest pełno programów i programików. Edytorów. Cała masa zapaleńców wymienia się modyfikacjami. To jak, zastanowisz się? — Poskrobała mnie pod brodą jak zwierzątko, swoim niebieskim szponem. — A tak w ogóle to gdybyś miał choć odrobinę wrażliwości artystycznej i elementarnej wiedzy, dotarłoby do ciebie, że patrzymy na metaforę Pierwszej Wojny Światowej.

Gdzieś nad moją głową rozlega się huk. Kulę się, odruchowo przyciskam plecy do chropowatej kory drzewa. Pokrzywy parzą mnie w bose stopy, ale prawie tego nie czuję. Złowrogi ryk opada o pół oktawy i powoli cichnie, a ja poprzez listowie dostrzegam wśród gwiazd oślepiający, błękitny ogon plazmolotu. Chce mi się śmiać. Roimy sobie, że zawojowaliśmy świat. Że jesteśmy władcami galaktyki, bo umiemy na jakiś czas zmienić gaz w słup ognia gorącego jak słońce, bo poleciliśmy w kosmos, bo zbudowaliśmy parę miasteczek na pobliskiej planecie i garstkę mizernych baraków na kilku księżycach. A prawda jest taka, że nadal nic nie znaczymy. Nadal jesteśmy żałośni w porównaniu z siłami, których nie jesteśmy w stanie pojąć.

Ta myśl przeraża, ale i otrzeźwia. Nastawia soczewki umysłu tak, by obraz stał się ostry jak brzytwa. Nagle wszystko robi się tak niesamowicie realne — kora, pokrzywy, zimne powietrze, zapach wilgotnej ziemi. Każdy krok każdego z sześciu chropowatych

odnóży chodzącego mi po dłoni żuka odczuwam z intensywnością smagającego skórę bicia. Strach pomaga poczuć, że żyję. Ledwo słyszalne głosy Przedwiecznych przecinają powietrze, a jakaś pierwotna cząstka mnie reaguje na ten zew, wpada w rezonans jak struna.

I wtedy ją spostrzegam. Kartka! Skrawek rozmokłego od deszczu papieru szamocze się jak mały, śmiertelnie przerażony ptaszek schwytny w szpony krzewów. Wiatr rozwiął moje notatki. Potrzebuję notatek — umysł wzdraga się przed słowami plugawego języka, który studiowałem przez ostatni miesiąc. Choćbym nie wiem ile razy próbował się ich nauczyć, mózg wypluwał z siebie szorstkie frazy niczym gorzkie, trujące owoce.

Delikatnie biorę kartkę do ręki, brzegi się rwą, ale litery pozostają nienaruszone. Przechodzą mnie ciarki, gdy przebiegam po nich wzrokiem. Podnoszę oczy. Grożąca burzą chmura przepływa bokiem, a te mniejsze, postrzępione powoli się rozwiewają. Patrząc w gwiazdy i już wiem. To ta noc. Oś kalendarza rzeczywistości. Noc na styku światów. Moment, wokół którego obracają się wszystkie inne dni i noce.

Zawsze lubiłem klasykę. Poe, Lovecraft, nawet staruszek Crowley, którego „powinno się powiesić”, ale jakoś nigdy zadyndał. Eleganccy panowie z dawnych, czarno-białych czasów, którzy dostrzegali więcej niż inni i nie były to miłe rzeczy. Okazało się, że nie jestem odosobnionym przypadkiem.

Gdy Sybilla wrzucała mój pomysł na swojego lifeloga, nie spodziewałem się, że kogokolwiek zaciekawia on w większym stopniu niż infantylistyczno-kubistyczne bohomy jej marsjańskiej córeczki. Myliłem się. Chwyciło jak cholera. Setki osób zadeklarowały, że dołączą się do mojego „transformance’u”. To Sybilla tak to nazwała: transformacja i performance w jednym, w myśl idei „życie moim płótnem”.

Każdy dorzucał coś od siebie do tego dzieła sztuki z pogranicza życia i gry — drobne sugestie, pomysły i Pomysły. Pewien pisarz-conlanger obiecał, że zaprojektuje język specjalnie na tę okoliczność, prymitywny i chrapliwy, stający ością w gardle człowiekowi Zachodu. Idealny. Tworzyliśmy własne mitologie, tajemnice fraktalnie zagnieżdżone w innych tajemnicach. „Wiara w starożytne siły. Powrót do dzikiego animizmu. To takie pierwotne, takie atawistyczne, takie seksowne” — mówiła. — „Współczesny, wykastrowany cywilizacją człowiek potrzebuje, żeby strach przeorał mu plecy pazurami.”

Udział zadeklarowało ponad 430 osób. Czekaliśmy kilka tygodni w skórze bohatera Lovecraftowskiej powieści: narastająca obsesja na punkcie tajemniczego czterowersza w fikcyjnym dialekcie języka starosumeryjskiego, próby rozwikłania zagadki i rozszyfrowania ukrytej w nim inkantacji, nieodparte wrażenie kontaktu z potężną, plugawą siłą z dna oceanu. Totalna zmiana paradygmatu, nowe spojrzenie na świat. A potem katharsis w formie resetu pamięci i powrót na łono cywilizacji jako nowy, odmieniony człowiek, bogatszy o niesamowite doświadczenie.

Nie mogłem się doczekać.

Krwawy księżyc rzuca akurat tyle światła, żeby, wyteżając wzrok, dało się rozczytać nakreślone drżącą ręką litery.

— *Eud Tauħdu ôkteshu, lebboch nu aŗukte ethru mibu...* — szepczę wyrazy, które brzmią jak osuwające się po zboczu kamyki, jak trzask gałązki pod łapą drapieżnika. — *Kyne etme K'thulu, an R'lyeh edhuħe...*

Oto słowa, które muszę wypowiedzieć. Słowa, które albo mnie uwolnią, albo zabiją. Obie alternatywy wydają się kuszące. Podnoszę głos.

— *Eud Tauħdu ôkteshu! Lebboch nu aŗukte ethru mibu! Kyne etme K'thulu! An R'lyeh edhuħe!*

Na każde moje zawołanie odpowiada echo niczym odzew tłumu wiernych. Z każdej strony otaczają mnie ponure posągi drzew, a ja stoję pośrodku polany jak kapłan i wykrzykuję słowa z kartki. Dygoczę na całym ciele. Jestem wycieńczony. Patrzę w niebo, na układ gwiazd, na rdzawy cień Ziemi kładący się na tarczy księżyca. Mam właściwą kombinację. Mam odpowiednie słowa. Rozwiązałem wszystkie zagadki, jakie miałem rozwiązać. Przez ostatnie tygodnie uciekałem, kradłem, chowałem się w piwnicach i kanałach, drżałem o własne życie. Moja psychika czerniała i kruszyła się jak pożerany płomieniem papier. Wiem na pewno tylko jedno. Wiem, co należy zrobić i co powiedzieć, by przepędzić Cthulhu z mojego umysłu...

...ale...

...to nie działa.

— *Kyne etme K'thulu! An R'lyeh edhuħe...!*

Krzyczę aż do zdarcia gardła, ale wciąż słyszę głosy Przedwiecznych, wciąż widzę ich macki i szpony w powykręcanych gałęziach drzew.

Nie ma wytchnienia. Śnię o nim, a on śni o mnie.

Użytkownik *brainstormer101* odpowiedział na twój post:

Hej, spóźniłem się na start projektu „Cthulhu”? Ostatnio coś tu pustawo...

Bardzo podoba mi się pomysł wyzwalacza resetu pamięci opartego na „właściwym układzie planet” (świetnie wpasowuje się w lore), ale mam jedno zastrzeżenie. Ciała niebieskie Ci się chyba pomyliły. Myślę, że chodziło Ci o zaćmienie księżyca w trakcie opozycji Marsa, a nie Jowisza. Wg mojego kalkulatora efemeryd (NASA/JPL) takie zdarzenie astronomiczne nie będzie miało miejsca przez najbliższe sto siedemnaście lat.